

Dotychczas czytałem wypowiedzi ludzi, którzy byli w samym środku wydarzeń sierpniowych, uczestniczyli w nich czynnie. Ja przez cały czas stałem z boku, zajmowałem pozycję obserwatora.

Jako człowiek nie byłem bezstronna-- od początku życzyłam z całego serca zwycięstwa stoczniowcom i strajkującym, ale ze względu na swój zawód musiałam pomagać nie tylko im, a właściwie - przede wszystkim tym, którzy nie byli im przychylni.

Jestem lekarzem. Nie ważne z jakiego miasta. To, o czym napiszę nie musi się kojarzyć z określonym miejscem na mapie.

Kiedy TO się zaczęło, przyszedł do mnie pacjent, inżynier, który przeżył dość poważną operację, a potem, na skutek ogólnoustrojowych powikłań, trafił na internę. Powiedział, że chce się wypisać na własne żądanie. Jego stan nie był dobry i choć nie ma tendencji do zatrzymywania pacjentów ponad ko-



nieczne minimum, w tym wypadku należało przeciwdziałać opuszczeniu szpitala. Wyjaśniłam, że to nieprzemyślana decyzja, lekkomyślna, opowiedziałam o skutkach, jakie może pociągnąć za sobą takie "niedoleczenie". "Pani nic nie rozumie - powiedział mi - ja przecież muszę być teraz ze swoimi ludźmi. Oni są w porządku, chcą dobrze, ale potrzebują kogoś, kto im pomoże wszystko zorganizować i nie pozwoli ich "wpuścić w maliny", oszukać, wykorzystać. Oni na mnie liczą".

"Czy pan wie, że może pan to przypłacić życiem?" - spytałam.

"A jakie życie ofiaruje mi pani potem, jeśli teraz zdezerteruję?" - odpowiedział.

Wypisał się ze szpitala, poszedł do "swoich ludzi", przebywał na terenie zakładu przez wiele dni. I przeżył. Przyszedł do mnie na kontrolę przed kilkoma dniami. To było na pewno zdumiewające, ale to ja się myliłam, a on miał rację. W czasie badania nie znalazłam niczego, czego można było się spodziewać przykładając miarękę "szkiełka mędrca" - był całkiem sprawny fizycznie, a przede wszystkim zadowolony i wygrany psychicznie.

Po tym inżynierze mieliśmy wielu takich, którzy przerywali leczenie sami, albo zdrowieli tak szybko, że zaczęliśmy podejrzewać, iż leczylimy symulantów. Nasza pyskata salowa, widząc kolejnego chorego, który cudownie ozdrowiał i zabiera się do domu, powiedziała złośliwie: "Do pracy to wam się jakoś nie spieszyło, ale na strajk to bardzo żeście silni". Robotnik, zaczepiony w ten sposób, odparował natychmiast: "Niewolnika można do pracy zmusić, ale nie można go zmusić do tego, żeby ją lubił i żeby się do niej spieszył".

Na zwolnione miejsca szybko przybyli nowi.



Najpierw był telefon do dyrektora szpitala, potem - od dyrektora w dół - czyli do mnie. Poproszono mnie, żebym przyjęła, znalazła chorobę i zatrzymała na oddziale tzw. V.I.P., Bardzo Ważną Osobę. Nie było to trudne, nawet dla lekarza o wrażliwym sumieniu, który trzęsie się nad każdym zwolnionym miejscem i myśli komu je dać, kto tego miejsca najbardziej potrzebuje. Po prostu miałam przed sobą człowieka autentycznie chorego - chorego ze strachu. Strach rujnuje organizm wcale nie gorzej niż bakteria. U tego pacjenta musiał być strach wyjątkowo silny i wyjątkowo zjadliwy, bo w karcie można było wpisać wiele przypadłości - ku jego zadowoleniu i zadowoleniu tych, którym było na rękę, żeby ta postać zniknęła na pewien czas z horyzontu i nie "robiła ziej krwi" robotnikom i wszystkim uczciwym, myślącym ludziom.

Miałam też pacjenta chorego ze wstydu. On także był przyjęty na zasadzie: "był w jego sprawie telefon" i także pozwolił nam na znalezienie u siebie chorób, które zwalniały od wyrzutów sumienia za zajęte łóżko. Właściwie to nawet w momencie przyjęcia był w lepszym stanie i dopiero w szpitalu zaczął nam marnieć. Był apatyczny, przygnębiony, nie miał "woli wyzdrowienia", a przeciwnie - "wolę chorowania". Któregoś dnia, całkiem nieoczekiwanie /bo nie należał do ludzi komunikatywnych i otwartych/ przyszedł do mojego pokoju i rozpoczął swojego rodzaju spowiedź. Dowiedziałam się, co robił, czego nie robił, co było złe, co ma na swoje usprawiedliwienie i nad czym najbardziej boleje. Otóż najbardziej cierpiał z powodu syna; dorosły już prawie chłopak - jedynek, student nie odwiedzał go w szpitalu. "Mam wrażenie, że chciałby, żebym umarł - powiedział mi zgnębiony pacjent - wtedy nie musiałby się wstydzić mnie przed kolegami".



Udało mi się skontaktować z żoną tego pana i delikatnie zasugerować, że wizyta syna byłaby -ze względu na stan psychiczny męża - ogromnie pożądana. Dowiedziałam się wówczas, że syn ma wielki żal do ojca, że codziennie ona i chłopak przyjmują dziesiątki anonimowych telefonów, w których ludzie szydzą, docinają, prawią złośliwości, lub złorzeczą. "To trudno udźwignąć, tyle ludzkiej nienawiści, która dotyka bliską osobę. A jeszcze, gdy jest to ojciec, z którego syn chciałby być dumny" - powiedziała.

W pewnym okresie na widok karetki pogotowia jadącej na sygnale ludzie mawiali: "ocho, wiozą znowu jakiegoś dyrektora albo sekretarza". To było złośliwe, ale nie pozbawione wcale racji. Szok psychiczny, strach, wstyd, dosłownie powalały ludzi. Mieliśmy zawały - wcale nie symulowane, autentyczne ciężkie zawały u całkiem zdrowych ludzi. Pękały masowo wrzody żołądka i dwunastnicy. Ciśnienie przybierało krytyczne wartości. Następowало drastyczne zaostrzenie wszystkich stanów chorobowych u chroniczków. Dlatego, gdy czytałam w prasie, że ktoś z Ważnych odszedł ze względu na stan zdrowia /a było takich komunikatów wiele/, mój sceptycyzm był o wiele mniejszy niż przeciętnego czytelnika. Ja gotowa byłam w to wierzyć, bo miałam u siebie wielu z nich, tych co odchodzili, bo stres psychiczny był zbyt duży, by wytrzymał to organizm.

Umrzeć ze strachu, z rozpacz, ze wstydu - nagle przestało brzmieć jak poetycka przenośnia.

Zadaniem lekarza było nie tylko udzielenie pierwszej i drugiej pomocy. Musieliśmy wszyscy - bez względu na wewnętrzne przekonania i sympatie czy antypatie - zastanowić się nad tym, w jaki sposób ułatwić, a czasem wręcz umożliwić niektórym pacjentom powrót do życia poza szpitalem. Wiedzie-